

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (54)

(fragmenty)



Tak, śmierć jest niszczycielką bez skrupułów i zasad, barbarzyńskim dzikusiem, piratem, przeciwieństwem ludzkich hierarchii. Napada znieca, wycina w pień wszystkie komórki ciała, anarchia wcielona, furia niszczenia. Naprzeciw niej stanął urzędnik życia: czystość, schludność, umiar, porządek, ubranie poukładane w kostki, trzy posiłki o określonej porze dnia, podręczny kalendarz zapisany maczkiem spraw do załatwienia. Zmiotła go, zgmiotła go.

Okazał się w jej oczach prochem i niczym.

Lecz pamięć podpowiada mi też pewną sytuację, gdy mój były szef zdumiał mnie wypowiedzią przy stole. Był jubileusz redakcji, a ja pojawiłem się na nim już tylko jako współpracownik i kombatanat wiadomej choroby. Tymczasem on był dopiero rok po operacji i świeżo po chemioterapii. Toczyła się dyskusja o sztuce, kobietach, podróżach, a potem może o ostatnim filmie Wajdy czy o pomyłkach jurorów naznaczających książki do Nike; dalibóg, nie pamiętam... i nagle on, nigdy niemanifestujący przede mną swojej religijności, wyskoczył ze zdaniem: „Nieważne, co tu dokonaliśmy, jakie są nasze tytuły, miejsce w hierarchii artystycznej; ważne, czy jesteśmy dobrymi czy złymi ludźmi i jak oceni nas kiedyś Bóg”. Umilkłem skonsternowany, bo te słowa nie pasowały do tego na wskroś ziemskiego człowieka. To zabrzmiało jakoś niezręcznie, jeśli nie anachronicznie, gdy racjonalista, pragmatyk przemówił językiem kaznodziei albo poety.

A potem znów nie widziałem go rok i zdumiał mnie jeszcze raz: gdy umarł, bo przez lata wbił mi się jednak w pamięć jako trzeźwy, zdyscyplinowany, punktualny, sprawiający wrażenie, że się zna na wszystkim. Poczulem z całą mocą, że to jakiś psikus losu, bo on przecież absolutnie nie pasuje do abstrakcyjnej Nicości. To ja do niej pasuję. Ja całe życie bez zegarka, ja, który znam w Krakowie raptem dziesięć ulic na krzyż, a w dodatku

każda z każdą mi się mieszają, który mam orientację kosmiczną, czyli żyję w poetyckiej mgłę, nie mając zielonego pojęcia o cenach, o imponderabiliach przyziemnej rzeczywistości... A nie on – urzędnik, system, mechanizm, chodząca wiara w gazetę codzienną, żywa encyklopedia wiedzy, znakomita pamięć do faktów, ulic, cen detalicznych, dat historycznych, przywiązanie do grawitacji przyziemnej – żywe zaprzeczenie nieobliczalnej anarchistki śmierci, która zaczęła się w środku niego i milcząco, pięćdziesiąt jeden lat, czekała, żeby się wydostać na wolność, rozsądając cały ten skonstruowany umysłem porządek.

Jednym z marzeń ludzkości było i jest – życie wieczne.

Ileż religii świata kultywowało i kultywuje to niezniszczalne marzenie!

Ale czy moja 94-letnia mama chciałaby żyć wiecznie? Nie wiem. Podejrzewam, że nie. I podejrzewam, że wielu starych ludzi, umęczonych długim życiem, nie bardzo ma już na to ochotę.

Pisał o tym kiedyś w wierszu Janek Rybowicz i chyba miał rację:

Im człowiek starszy, tym mniej boi się wszystkiego.
Jego oczy mówią – jest mi już wszystko jedno.

Człowiek bardzo stary zwykle mruczy coś pod nosem
Kiedyś podśledzałem: Róbcie ze mną co chcecie! –
mamrocze (...)

Półosłepła malarka Maryla Tatarczuch ze Sztokholmu, którą, jak mówi, wszystko boli, napisała mi na kartce: „Degrengolada ciała! Starość to diabelszczyzna, usiłująca upokorzyć nie tylko ciało, ale i ducha! I upokarza. To okropne!”.

Czyżby więc religia była przeznaczona raczej dla ludzi w średnim wieku i dla ludzi starszych, którzy poruszają się jeszcze o własnych siłach, i którym starość nie zdążyła jeszcze umniejszyć ducha?

Miron Białoszewski, który „nie żywił złudzeń religijnych” i nie podzielał marzeń ludzkości o życiu wiecznym, tuż po kolejnym wyjściu ze szpitala napisał mi na kartce: „Nic mi poważnego nie jest, tylko takie resztki osłabienia, które kiedyś się zbiorą i wtedy człowiek umrze. Nareszcie spokój od wszystkiego (...)”.

Dziwił się ludziom, którzy „pragną życia pośmiertnego za wszelką cenę: wcieleń, włóczęń się duszy, tępego snu, prawie – niebycia”. „Chodzi im – pisał mi w liście – o to prawie, żeby choć troszeczkę być, choćby udawać, że się jest”...

Ale Miron Białoszewski w ogóle nie przepadał za marzeniami. Żył chwilą teraźniejszą jak dziecko. I chwycił tę chwilę na gorącym uczynku.

„Marzenie? Co to słowo oznacza? – pytał

mnie udając zdziwienie. – Jakąś sytuację, w której chciałbym być. Jeśli coś chcę, staram się, żeby było. Nie miałem nigdy w zwyczaju marzyć o niebieskich migdałach”.

Z listu Izabelli Migal do mnie:

„Witam, po długim śnie.

Akceptuję twórczość Białoszewskiego. Właśnie inspirują mnie niektóre jego pomysły. Ma zabawne kawałki, na przykład kawał z modą na »miganie nago«. Ma Pan rację, że jak rzadko który polski pisarz jest on pozbawiony romantycznych uniesień i czasem się wydaje, że jest człowiekiem nieodczuwającym bólu, dramatu egzystencji, chodzi jak fakir po gwoździach i opowiada dowcipy. Niestety, albo stety, nie będę Białoszewskim, nie potrafię przemilczeć, że mnie boli stopa, kiedy stanę na gwoździu. Każdy jest inny i z tego tylko się cieszę, kiedy widzę, że za Chiny nie mogę przyjąć czyjś punkt widzenia i wizji sztuki, ale interesuję się tym, co myślą inni, bo nie wisimy w powietrzu, to jednak ziemia i trzeba korzystać z tej formy istnienia danej nam, zdaje się tylko raz, choć buddyści uważają inaczej (...). Śniegu niestety już nie ma. Przesyłam kilka kropel deszczu”.

Z niezbyt optymistycznego listu poetyksiedza Wacka Buryły z Milicza:

„Nowa wiosna budzi się w przyrodzie – czekam. Kiedy obudzi się we mnie? Czuję fizyczne i psychiczne zmęczenie. To uczucie, ta apatia jeszcze bardziej się pogłębia, gdy człowiek popatrzy na to, co się dzieje wokół. Jakoś nam Polakom nie wychodzi rządzenie własnym krajem. Potrafimy jedynie walczyć o wolność. A potem potrafimy się jedynie ustawiać, dorabiać, zabezpieczać. To przykre. Jeden z poetów tłumaczył mi kiedyś, że w Polsce istnieją dwie partie: DO ŻŁOBU i OD ŻŁOBU. I chyba tak wygląda rzeczywistość. Rządzący czują się nieźle, naród nie czuje się tak dobrze. Kiedyś nie chciałem się zgodzić na takie poglądy, ale teraz widzę, że tak jest niestety (...). Mimo wszystko musimy robić, co jest w naszej mocy. Przecież z małego dobra rodzi się małe dobro. Czy poezja może zmienić świat? Czy poezja może obudzić ludzką wrażliwość, ludzkie sumienie? Staram się czytać wiersze różnych autorów, ale jakże często bywam rozczarowany tym, co czytam. W wierszach znajduję słowa, ale nie widzę serca, wrażliwości, miłości, zatroskania. Współczesna poezja wydaje się bardzo zimna, zamknięta, niezrozumiała – a może pusta? Chciałoby się w wierszach usłyszeć ludzki oddech, ludzkie kroki”.

cdn.

